



Mały przegląd

piśmo dzieci i młodzieży

wychodzący co piątek rano z korespondencje i material kierować należy do redakcji „małego przeglądu” nowolipki 7

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 34 (8730) NASZEGO PRZEGLĄDU

JONATAN BURAK (Równe Woł. — 12 lat).

Praca konkursowa

1 STYCZANIA 1950 R.

Miałem wtedy lat szesnaście, było to dnia 1 stycznia roku 1942. W naszym mieście panowało od rana dziwne podniecenie i ruch.

Dotarli do nas wieści, że po ogólnym zebraniu prezydentów i królów całej Europy, po podpisaniu aktów i po uroczystej przysiędze przez nich złożonej, rozwalono słupy graniczne i wszyscy ludzie wszystkich narodowości i ras podali sobie ręce. Wszyscy bowiem zapragnęli zgody braterstwa i miłości.

— Dostyc mamy wojen, krwi i nienawiści! Chcemy zgody!

Przed miesiącem zaledwie odbywały się zebrania, wiece i gorące manifestacje, w którym młodzież brała udział. Wszystko wydawało mi się tego dnia nowym, tchnącym wiosną i życiem.

Ludzie ściskali się, radowali i tańczyli na ulicach..

Starsi, pamiętający jeszcze czasy zamartwychwstania narodów, dzień 14 listopada 1918 roku, wspominali tamte czasy i śmieli się jak dzieci.

Radość była powszechna.

Teraz stoimy na progu nowego roku 1950.

Lata miały. Urosłem, dojrzałem i teraz jestem kierownikiem Departamentu Oświaty 26 okręgu w Europie.

Starsi mówią jeszcze:

— Tu była Francja, a tu Niemcy.

Ale my uważamy się za jeden wielki naród, za jedną wielką rodzinę; każdego bliźniego uważamy za brata.

Często uśmiecham się na wspomnienie tych czasów, gdy musiałem iść skulony i rzucający ukradkiem przestraszone spojrzenia.

Jakże często myślałem:

— Dlaczego? Dlaczego nie dają mi przejść ulicą spokojnie, dlaczego zaczepiają, biją, przezywają? Dlaczego.

Niedawno, bo przed dwoma tygodniami byłem na inspekcji w szkole, należącej do mojego okręgu. Widziałem dzieci. Dzieci ufnie, naiwne i śmiałe, jakże odmienne od tych, z roku 1938, skrytych, nienawistnych i nieufnych. Prosiły, abym im o czymś opowiedział. Obiegły mnie i nie mogłem się od nich odczepić.

Więc opowiedziałem im o tych czasach, gdy miałem dopiero lat dwanaście, t.j. gdy byłem w ich wieku.

Nie chcieli i nie mogli mi uwierzyć.

— Jakto? — mówili — jak można nienawidzić człowieka za to, że ma ciemne włosy, garbaty nos i mówi innym językiem?

— Tak dzieci, nie zaznałyście i nie zaznacie obłudy i nienawiści.

Obudziłem się dzisiaj rano,

wyjrzałem przez okno — śnieg padał. Cała ziemia była pokryta cienkim i białym płaszczem śniegu.

Umyłem się w łazience pod tuszem, ubrałem się i zasiadłem do śniadania. Śniadanie spożyłem w towarzystwie kolegi, który jest sekretarzem Departamentu Oświaty.

Słuchaliśmy radia, nadawano właśnie wiadomości ze świata. Czyste dźwięki radia ilustrowały trójwymiarowe obrazy telewizyjne. Jakże różnił się dzisiejszy aparat telewizyjny od tamtego z roku 1938! Tamten wielki, ze skomplikowanymi przyrządami wyświetlał obrazy mętne, niejasne i zatarte. Ten estetyczny, mały, wyświetla obrazy trójwymiarowe.

Rzuciłem okiem na elektryczny zegar. Była już godzina osma. Ubrałem się i wyszedłem. Przed domem stał „Chevrolet” model 1950. Usadwiłem się wygodnie i ruszyłem. Maszyna jechała cicho, bo miała specjalnie wmontowany tłumik, który przygłuszał ostre dźwięki motoru. Jechałem już może godzinę po wspaniałej asfaltowanej autostradzie, gdy wyrwał mnie z zadumy straszny huk. Obejrzałem się i zobaczyłem błyszczącą rakietę, która zdążyła na Mars. Od roku bowiem 1942 istnieje między ziemią a Marsiem połączenie komunikacyjne. Pocisk od dałał się i malal w oczach, po chwili widac było tylko mały, owalny i świecący punkcik. Pocisk ten leciał z ogromną szybkością, bo był wyrzucony ze specjalnie skonstruowanej armaty.

Ruszyłem dalej. Miałem dziś jeszcze zwiedzić moje rodzinne miasto, odwiedzić rodziców oraz nowootwartą szkołę w mieście.

Dojechałem do miasta K. i wysiadłem. Auto odstawiłem na bok, aby nie przeszkadzało innym pojazdom i dalej ruszyłem piechotą. O los auta nie troszczyłem się wcale. Szedłem pięknymi i szerokimi ulicami. Po obu stronach stały w ogrodach białe domki.

Wstąpiłem do biura agencji samolotów i na godzinę dziesiątą zamówiłem jednoosobowy samolot.

W międzyczasie odwiedziłem znajomych, którzy mieszkali w jednym z tych domków. Przyjęli mnie bardzo serdecznie i pokazali swój garaż, w którym stał dwuosobowy samochód. Potem zaprosili mnie na przechadzkę, było jeszcze wczesnie, więc zgodziłem się i poszliśmy.

Spacerowaliśmy aleją, wysadzana jodłami. Między pniami drzew znajdowały się posągi dzieci. Za drzewami, po bokach alei ciągnęły się place zabaw wyłącznie dla dzieci. Tutaj mogły dzieci pod nadzorem i troskliwą opieką wychowawców i le-

karzy bawić się i figlować, ile tylko wlezie. Był to prawdziwy raj dla dzieci.

Obecnie znajdowały się tu trzy ślizgawki, wszystkie czynne. Jechali na nich instruktorzy, którzy szkolili dzieci. Wtem zadął silny wiatr i płatki śniegu zawirowały w powietrzu.

Zawróciliśmy. Ulice opustoszały. O los auta nie troszczyłem się wcale, bo wiedziałem, że Straż Drogową auto umieści w garażu i potem przez radio zawiadomi właściciela.

Rzeczywiście, gdy wróciłem, usłyszałem opis auta, zawiadomiono też właściciela, że znajduje się w garażu 19. Pożegnałem gospodarzy i pośpieszyłem do garażu. Tam pokwitowałem odbiór auta i pojechałem na lotnisko. Samolot był już przygotowany do lotu i stał na lotnisku przykryty brezentem. Zrzuciłem brezent, wsiałem i po chwili szybowalem już hen, wysoko w kierunku rodzinnego miasta. Bo chociaż była wichura i zamieć, jednak dzisiejsze samoloty są o wiele wytrwalsze od dawniejszych i mogą zwalczyć i pokonać największe przeszkody.

Podróż trwała 15 minut. Była już godzina jedenasta, gdy wylądowałem na lotnisku. Samolot zostawiłem w hangarze i skierowałem swe kroki ku domowi rodziców.

Spędziłem tam dwie godziny i czule przez nich żegnany pośpieszyłem na lotnisko. Ruch na ulicach panował w całej pełni. Spieszyły więc auta małe i większe i duże, czerwone, żółte, czarne, granatowe i różnorakich kolorów. Czasami z rykiem klaksonów przejeżdżał autożar szkolny, wypełniony roześmianą dziatwą.

— Jadą pewnie na wycieczkę — pomyślałem.

Ruchu nikt nie regulował, każdy bowiem miał przestrzegać przepisów jazdy. Rzuciłem okiem na zegar. Była już godzina pierwsza.

Wyniki konkursu zimowego

TEMAT PIERWSZY.

Na konkurs zimowy nadesłano 267 prac, mianowicie na temat pierwszy („1 stycznia 1950 r.”) — 103, na temat drugi („Ależ było mi wtedy ciepło”) — 61, i na temat trzeci („Mój przyjaciel”) — także 103.

Pierwsza nagroda (25 zł.) została podzielona między autorów dwóch najlepszych prac i do dwóch nagród książkowych dodano jeszcze trzecią.

Więc nagrody pieniężne po 10 zł. każda zdobyli:

Jonatan Burak, 12 lat z Równego Wołyńskiego i Franla Rybińska, 14 lat z Warszawy.

Nagrody książkowe: Pepa Jakubowicz, 13 lat ze Świdra koło Otwocka,

szka. Leciałem ze zdwojoną szybkością. Wylądowawszy odstawiłem samolot do hangaru i wsiałem do auta. Zatrzasnąłem drzwiczki i ruszyłem. Jechałem teraz inną drogą.

Dawniej droga ta prowadziła do granicy. Teraz prowadzi w świat. Zakręciłem i znalazłem się na autostradzie. Jechałem ciągle na północno - zachód. Śnieg przestał padać. Gnałem dalej. Czasami mijalem się z kierowcami aut, wtedy pozdrawialiśmy się nawzajem, choć nie znaliśmy się wcale. O godzinie drugiej przybyłem do miasta Z.

Były ferie i szkołę zastałem nieczynną. Był to budynek ogromny i wspaniały, miał jedno piętro i mnóstwo okien. Szkoła tak zwana wykształcająca, dawniej powszechna, miała klas osiem, bo klasa pierwsza to było prawie to samo co przedszkole. Uczono tu dużo języków, więc przede wszystkim esperanto, jako język międzynarodowy, języki stare, klasyczne i język macierzysty. Szkołę taką musiał skończyć każdy obywatel, w przeciwnym razie tracił prawa obywatelskie.

Potem były szkoły wyższe (dawniej gimnazja), uniwersytety i akademie, ale do tych posyłano tylko uczniów zdolnych i utalentowanych.

Szkoła była zupełnie bezpłatna. Podręczniki, zeszyty, teczki i t.p. dostarczał w potrzebnej ilości zarząd danego okręgu.

W szkole wydawano bezpłatnie śniadania, a popołudniu była czynna świetlica i kino. Kurs szkoły był łatwy i dostępny dla wszystkich. Wykładali nauczyciele dobrzy, sprawiedliwi i naprawdę miłujący swój zawód. Starali się oni zająć w duszę dziecka, zająć w każdy jej ciemny zakątek i rozświetlić ją nauką i miłością.

Obejrzałem szkołę w towarzystwie jej kierownika, który wszystko mi objaśniał. Wcale nie

był zmieszany. Pamiętam, jak to było w naszej szkole w roku 1938 podczas wizytacji. Powstała panika, uczniowie kuli lekcie, czyścili ubrania, przygładzali rozwichrzone włosy. Dziewczynki piszczały i lamentowały, nauczyciele stali się biali jak płótno. Wózny przebrał się w świąteczne ubranie i wszystkich się raptownie zmieniło.

Pożegnałem przełożonego i o godz. wpół do trzeciej opuściłem szkołę. Do domu przybyłem o godzinie trzeciej. Obiad zjadłem w towarzystwie kolegi albo oficjalnie sekretarza Departamentu Oświaty.

Otworzyłem radio. Nadawano komunikat naukowy. Dowiedziałem się, że przed godziną wypłynęła na morze i obecnie znajduje się koło wyspy św. Heleny batysfera. Batysfera jest to duża kula, bardzo wytrzymała na ciśnienie. We wnętrzu znajdują się uczeni wraz z przyrządami. Wnętrze jest urządzone jak pokój, a w ścianach są okna. W takiej oto batysferze w roku 1939 spuścił się prof. Piccard na głębokość 1 km.

Rozległ się gwizd, znak, że batysfera pogrążyła się w morzu. Zamknąłem radio i wziąłem prasę.

Między innymi był też w języku esperanto „Maigranda rewuo”, a w języku polskim Mały Przegląd. W przyszłym roku będziemy święcili 25 lecie tej gazetki. Między redaktorami jest też sławna powieściopisarka D. Mały Przegląd ukazuje się trzy razy tygodniowo na dobrym, ilustrowanym papierze, liczy 20 stron i kosztuje zaledwie 5 moneroj, co równa się 5 groszom.

Gazetkami tymi interesuję się bardzo. Mam je wszystkie, są ułożone podług dat i oprawione w skórę. Zbierał je dla mnie tatuś, gdy byłem jeszcze bobaskiem. potem gdy dorosłem, sam je zbierałem. Teraz Mały Przegląd nie jest samotny, bo młodzież wydaje w szkołach, ba, w klasach nawet gazetki drukowane.

Przegląd pism zajął mi dwie godziny. Była już piąta. Do szóstej byłem zajęty urzędowymi sprawami, potem przyszedł do mnie goście. Na samochodach urządziliśmy wspaniałą wycieczkę; było dużo śmiechu. O godz. 8-ej rozstaliśmy się przy rogatkach miejskich, zmęczeni, ale pełni wrażeń.

W domu nie zapaliłem światła. Na ulicy było gwarno, wesoło, rozlegały się śmiechy i krzyki, a u mnie panowała cisza i półmrok. Nacisnąłem guzik, ze ściany wyskoczyło szerokie wygodne łóżko.

Położyłem się. Wziąłem do ręki książkę, ale po chwili ją odłożyłem. Nie mogłem czytać. Myślałem, jak dobrze jest teraz na świecie. Wszystko takie jasne i zrozumiałe..

WIERNA ZAHAWIĆ

„K A T I F”

Codziennie o tej samej porze, gdy jasność dnia szybko szarzała, ustępując trwoźnie ciemności mroku, szmer Uri ukazywał się na szosie, wiodącej do młodego padesu, gdzie nocami pełnił straż.

Jechał na swym cienkonogim arabie drobnym truchtem, trzymając dłońmi niedbale na kolbie zwisającego karabinu.

Gdy Uri przybywał do padesu, oddychał z ulgą i rozmiłowany wzrokiem rozglądał się dokoła. Kochał Uri ziemię, to życie pełne niebezpieczeństw ten młody pades rozwijający się niemal na jego oczach, ale najwięcej przywiązał się do Zahawit.

Tak nazwał złotą, rozkwitającą pomarańczę, która ciekawie wychylała swą chropowatą kopułę z otaczających ją kielichem liści. Wisiała na samym końcu długiej wygiętej gałęzi. Gdy Uri obejmując wartość, siadywał na ławce niedaleko jej, wtedy owoc sięgał mu do ucha i ocierał się pieszczotliwie o jego policzek.

Dziwnie droga i bliska była mu Zahawit. Może dlatego, że pamiętał ją jako małą kuleczkę na dnie kwiatu, a może dlatego, że była mu wierną towarzyszką jego nocnych dumań. Dość, że nie raz z lękiem myślał o tym, co będzie, gdy nadejdzie pora katifu (owocobrania).

Bywało, że w jasne letnie noce, kiedy wielki krąg księżycy staczał się ku uspiętym dolinom, a wonna cisza drgała sennie na odgłos silniejszego plusku fal Kineretu lub przydużonego jęku szakala, wtedy Uri dawał upust swym uczuciom w śpiewie. Rozległ się on głośnym echem dokoła, a Zahawit lekko się kołysała, jakby w takt piosenki.

Nieraz Uri odczytywał przy

blasku lampki elektrycznej jakieś listy, z których Zahawit dowiadywała się o życiu ojca, matki i rodzeństwa jej przyjaciela w dalekiej krainie, gdzie zimą pada śnieg, a latem pachną sosny.

Wtedy Uri zwracał do owocu swą zadumaną twarz i pytał go szeptem, nawpół żartobliwie, nawpół poważnie.

— Któż wie, Zahawit, może zawędrujesz aż za morze i spocznieś na ich stole. Czy odśiesz pozdrowienie od ich syna, szomra Uriego?

Zahawit lekko się kiwała, jakby przyrzekając spełnić życzenie przyjaciela.

Ale minęły spokojne ciche noce i nadeszły inne — złowieszcze i groźne.

Uri nie śpiewał już beztrako, nie gwarzył ze swą towarzyszką, która dojrzała, pęczniała od rozpięających ją soków, Uri z palcem na cynglu strzelby, gotowej do strzału, czuwał w napięciu milcząco, skupiony i uważny.

Dopiero gdy mroki nocy tańczyły szybko pod promieniami wschodzącego słońca, gdy pierwsi robotnicy przybywali do ogrodu, wtedy Uri tulił policzki do owocu i rzeźwił się jej cudownym aromatem.

— A co, bali się Uriego złodziej, prawda Zahawit?

I Zahawit jak zwykle kiwała potakująco.

Aż nadeszła noc ostatnia, która przerwała brutalnie tę piękną, czystą przyjaźń.

Rozwścieczony chamsin gwałtownie po niebie cienne płyty skłębnionych chmur, zginął potężnymi podmuchami Korony drzew i wył, siekając dokoła deszczem piasku.

Uri tulił się do pnia drzewa.

— Oby już minęła ta noc —

pomyślał, czując ze wstydem, że jakiś niewytłumaczony lek go ogarnia.

Ze współczuciem spojrzął na Zahawit, którą wicher dziko targał.

— Nie daj się Zahawit — dodawał jej otuchy.

Nagle wyprężył się cały. Czy go wzrok nie myli? Jakies cienie bezszelestnie przemknęły przez aleję ogrodu. Uri ścisła kurczowo broń i pyta stumionym głosem po arabsku:

— Min hada, min hada? (kto to? kto to?) Endak, endak (stój stój!).

Błysk wystrzału jest odpowiedzią.

Uri szarpie cyngiel automatycznego karabinu. Czuje, że go trafił, że coś piecze go w boku, że dziwna słabość go ogarnia, więc wali z broni ostatkiem siły. Odpowiadają mu głośnie jęki.

Cisza. Mdlejącymi rękoma przygarbia Uri Zahawit do siebie i szepcze jej zamierzającym głosem:

— Zahawit, przyrzeknij, znajdziesz się kiedyś na stole moich drogich, tam... opowiedz im, że ich syn... zginął za słuszną sprawę.

Nieludzkim wysiłkiem składa skrwawionymi wargami ostatni pocałunek na jej skórze

— Dla nich — szepce, osuwając się ciężko na ziemię.

Czy spełniła Zahawit swą przysięgę? Kto wie?... Ale gdy pójdziście z waszymi rodzicami w Chamisza Asar Biszwat po owoce palestyńskie, po dzieło i trud waszych braci i siostr i drogich osób w dalekiej ojczyźnie, rozejrzyjcie się wśród nich uważnie — może znajdziecie także i wierną Zahawit.

Izrael SOKOŁOWSKI

—:—:—

Zbliżał się czas Katifu (ściniania pomarańczy).

Zwołaliśmy tajną naradę, na której uchwalono, że wyjeżdżamy do Kfar-Saby („kiar“ — wieś, „Saba“ — dziadek), że mieszkać będziemy wspólnie. Tylko Ester, nowoprzybyta z Polski powiedziała, że w żaden sposób nie zgodzi się mieszkać razem z chłopcami, gdyż chłopcy są dzicy i lubią robić kawały.

Myśmy się oczywiście obrażili, bo zgrywa wielką damę, chociaż jest dopiero w kraju dwa tygodnie, na wszystko kręci nosem i zawsze mówi: „u nas było inaczej”. Postanowiliśmy ją wykluczyć.

Wybraliśmy delegację do rodziców. Z początku rodzice opkiwali z naszych planów, ale kiedy zobaczyli, że nie ustępujemy, potraktowali sprawę poważnie.

Zrobiono drugą naradę. Postanowiono wyjechać we wtorek, gdyż jest to dzień szczęśliwy.

Nie mogliśmy się doczekać tego wtorku. Wreszcie nadszedł. Pomaszzerowaliśmy środkiem ulicy śpiewając różne piosenki. Dołączyli się do nas przechodnie i maszerowali razem z nami, tak że utworzyliśmy długą pochód — starzy, młodzi, chłopcy, dziewczęta i nawet małe dzieci.

Zaraz po przybyciu do Kfar-Saby wynajęliśmy cztery pokoje i czym prędzej położyliśmy się do łóżek. Zgasiliśmy światło. Wtem rozległ się głos Alkana: „ja nie chcę spać koło okna, ja się przeziębę”. Dałem mu miejsce honorowe w samym środku pokoju.

Obudził mnie głos zegara, bijącego godzinę piątą. Wyskoczyłem z łóżka i podbiegłem

do okna: było jeszcze ciemno, księżyc zwoina zachodził. Dałem pobudkę.

Ubraliśmy się szybko i poszliśmy do pracy, zostały tylko trzy dziewczynki do sprzątnięcia i gotowania.

Pędzimy co tchu do auta. Przejeżdżając widzę Arabów siedzących przed padesami, gdzie kiedyś pracowali. Czekają na robotę. Mogą długo czekać, bo już im nikt nie wierzy.

Kierownik wyznacza wszystkim pracę i rozdaje nożyczki. Jedni ścinają pomarańcze, drudzy układają je w skrzyniach. Mnie wyznaczył na nadzorcę nad robotnikami.

— Ej Izak, nie rzucaj tak pomarańcze, obchodz się z nimi jak z jajkami. Ester, nie ścinaj 10 pomarańczy naraz. No, bracia, przerwijcie robotę, bo teraz jest pora obiadowa.

Przerwa obiadowa trwa pół godziny. Kierownik mówi:

— Bierzcie pomarańcze i jedzcie, ile chcecie.

Potem znów pracujemy do godziny czwartej. Koniec roboty. Przyjeżdża auto i zabiera nas z powrotem do mieszkania. Po drodze spotykamy się wszyscy i idziemy razem do domu.

W domu stół jest nakryty. Zasiadamy i jemy z takim apetytem, jakbyśmy tydzień nie jedli. Po obiedzie opowiadamy, jak kto spędził swój dzień roboty, gramy w różne gry i tak mija nam pierwszy dzień katifu.

Samek FUKS (Tel-Awiw).



HENRYK DAJCZER (Lublin).

DYKTATOR

(DOKOŃCZENIE).

Ten wypadek wzmocnił, rzecz jasna, autorytet dyktatora, objaśnił klasie poglądowo, co to znaczą rzędy silnej ręki. Z drugiej jednak strony stworzył w klasie wrogą dyktatorowi opozycję z Kubą oczywistą — na czele.

Kuba, klasowy sceptyk i klasowy arogant Maniek na odbytych po lekcjach zebraniach zawiązała oficjalnie K. W. D. — Komitet Walki z Dyktaturą.

Tymczasem dyktatura klasowa, osiągnąwszy szczyt swego rozkwitu, zaczęła nabierać podobnie jak jej wielkie imienniczki — groteskowego charakteru operetki.

Dyktator stworzył sobie sztab, złożony z czwórki oddanych mu najbardziej ludzi — pacholków — jak ich nazywała opozycja. Zadaniem tego sztabu, prócz zawiązywania i składania siatki, pilnowania porządku w czasie gry i wielu innych posług — było także stałe prawnienie komplementów dyktatorowi oraz nadanie jego słowom i czynom pozorów praworządności.

Spranie Kuby nazwano „koniecznymi represjami w stosunku do zgniłka - anarchisty”. Gdy dyktator jako nie najlepszy uczeń już teraz, na początku roku — pozwolił sobie na wagary, było to „przymusową absencją władcy na skutek niesprzyjających okoliczności”. Gdy na pauzie podczas zabawy, polegającej na rzucaniu się mokrą gąbką, został trafiony także sam dyktator, a „sztab”

natychmiast spraw winowającą, było to — „doraźne ukaranie zamachowca”. Tak tedy dyktatura ubierała się w mglistą szatę zapożyczoną z gazetki frazeologii.

Doszło do tego, że adiutant i „prawa ręka” dyktatora, ogłosił dnia pewnego z katedry rozporządzenie własnego pomysłu:

— Witajmy naszego wodza po starorzynsku! — wygłosił. — Energiczne podniesienie rozwartego ramienia i okrzyk: „salve imperator” — oto co charakteryzować będzie dobitnie naszą część i przywiązanie do wodza.

„Wódz” wysłuchał tego pompatycznego przemówienia ze skrzyżowanymi po napoleońsku rękami, zmrużonymi oczyma i lekkim uśmiechem.

Nazajutrz cały sztab witał już dyktatora wyciągniętą faszystowsko ręką i gromkimi „salve”. Tego samego dnia dyktator zapowiedział, że od całej klasy żądać będzie podobnych oznak czci dla siebie.

Gdy wreszcie następnego dnia dyktator spraw pierwszego lepszego z klasy za nieusłuchanie czy też może tylko zapomnienie tego rozkazu — opozycja postanowiła działać. Na wielkiej pauzie, podczas gdy dyktator z siódmką szczęśliwych wybrańców rozkoszował się siatkówką — skupiony na ławeczce K. W. D. odbywał doniosłą konferencję.

Tegoż samego dnia po południu — dyktator niespodzianie zakończył swój dwutygo-

dniowy żywot.

Stało się to przy siatkówce podczas meczu klasowej reprezentacji z reprezentacją kl. III Rzec jasna, że reprezentacją klasową był sztab dyktatora z wodzem na czele. Mecz ten był istotnie „ważny” i cała piątka dawała z siebie co tylko mogła. Oczywiście system gry był jak zwykle. Dyktator, stojący na honorowym miejscu przy siatce kierował całą akcją: trzecia, decydująca piłka dostawała się niezmiennie do zasięgu jego ramion i on to ścinał, „mylił” i zdobywał punkty.

Wszystko szło jak po maśle aż do chwili, gdy jeden ze sztabu, chcąc zablokować ścinającego przeciwnika, oberwał piłką w twarz niby taranem, rezultatem czego był silny krwotok i niezdadność do gry.

Dyktator gorączkowo szukał godnego tak doniosłego spotkania gracza. Na szczęście klasa znajdowała się tutaj w pełnym niemal komplecie. Dyktator pomyślał chwileczkę, pokombinował i wybrał... Kubę. Ten zajął wolne miejsce przy siatce, naprzeciw stanowiska dyktatora i gra potoczyła się dalej.

Zaserwowana przez przeciwników piłka podskoczyła wysoko nad siatką i odbita przez środkowego pomocnika, skierowała się w stronę Kuby. Ten miał ją wystawić teraz pionowo dyktatorowi, więc dyktator wspiął się czujnie na palcach. Przeciwnicy skurczyli ramiona w oczekiwaniu strasznego „ścicia” — tymczasem Kuba jakgdyby nigdy nie przeblił sobie flegmatycznie piłkę na drugą stronę tak, że zdezorientowani trzecioklasiści nie zdołali nawet rzucić się w jej kierunku.

Było to zdobycie prawa ser-

wu dla klasowej reprezentacji, ale dyktator zadrażniony boleśnie w swej dumie, rzucił Kubie z podejba kłujące spojrzenie. Wówczas wszyscy gracze i publiczność — wyczuli, że się na coś zanosi...

Tymczasem piłka podbita silnie przez serwującego, przeleciała nad siatką, zabawiła przez trzy odbicia na drugiej połowie boiska i wróciła do centralnego pomocnika, który posłał ją lekko Kubie.

Więc znów emocjonujące wyczekiwanie na mistrzowskie ścienie dyktatora i znów.. niespodzianka. Kuba nie wystawiając dyktatorowi, wystąpił piłkę wysoko na drugą stronę i znów zdobył punkt.

Atmosfera nad boiskiem przesycona była elektrycznością. Dyktator wyrzucił w stronę Kuby wściekłe „Krrretyn!”.

Kuba uśmiechnął się blado i wrzucił ramionami.

Gra potoczyła się dalej. Znowu serw, przyjęcie go i piłka leci ku lewemu skrzydlowemu. Ten skierował ją od razu do dyktatora. Piłka wznosi się pionowo nad lewą częścią przy siatce, dyktator już przeży się i zaciska kufak, już, już ma podskoczyć,

gdy nagle na oczach wszystkich nadbiega Kuba, wyraźnie, najwyraźniej w świetle odpycha go brutalnie i własnoręcznie przesyła piłkę na boisko przeciwników. Piłka odbita wróciła, ale nie natrafiwszy na niczyje dłoń, legła zapomniana w zwirze boiska. Któżby się nią teraz zajmował?...

Wszyscy gracze i cała publiczność utworzyli teraz rozgorączkowaną gromadę widzów, oczekujących z napięciem widoku walki między dyktatorem a zuchwałym buntownikiem. To przecież nie ulegało najmniej-

szej wątpliwości.

Dyktator wyprostował się zwoina i ruszył małymi kroczkami w stronę uśmiechającego się blado Kuby.

Pierwszy cios dyktatora start ten uśmiech — jak mokrą gąbką ściera kredę z tablicy.

Ramiona Kuby wykonały w powietrzu jakieś nieokreślone, bezradne ruchy — tymczasem pięści dyktatora ulokowały się na jego lewej piersi i Kuba upadł.

Upadł dziwnie pociesznie: jego długie nogi wystrzeliły nagle w powietrze. Ale później okazało się, że to obmyślony manewr — jego ciężkie buty runęły w kolana stojącego nad nim dyktatora i ten z jękiem osunął się na ziemię.

Potem — a trwało to o wiele krócej niż przeczytanie tego zdania — Kuba wczolgnął się, po prostu wczolgnął się, na nieruchome prawie ciało dyktatora i na dobrą minutę dyktator znikł zupełnie z pola widzenia. Widać było tylko wymachujące i opadające przednie kończyny Kuby, które dosięgały i grzęzły w czymś, co było i jeździło pod Kubą.

Wreszcie, uwolniony od ciężaru swego przeciwnika, dyktator wstał chwiejąc się na nogach i otrzępując z pyłu. Gdy spojrzął na roześmiane twarze całej klasy, na bardzo niewyraźne miny swych sztabowców, obok których zjawili się nagle trzej członkowie K. W. D. — nagle zrozumiał, że... przegrał...

Nazajutrz na klasowej zbiórce dokonano wyborów do nowego samorządu. Wśród siódmki kandydatów nie znalazło się nawet nazwisko dyktatora.

Jakże boleśnie zmienna jest dyktatorska dola...

WOLNA TRYBUNA

Wyrok w procesie kolegów N. D. i S. Z. oskarżonych o „Rękopisy jak upory”

I.
Pierwszy odruch po przeczytaniu tego „upiornego” doprawdy utworu, to chęć śmiechu, chęć dowolnego, swobodnego wyśmiania się aż do bólu żółtka i pokazania tego „kawałka” kolegom.

Kol. N. D. nie spodziewał się z pewnością takiego wrażenia. Pisał w dobrej wierze... nowelę. Oto mniej więcej jej zarys: szara godzina zmierzchu, — książka o średniowiecznych bohaterach — bliski kolega Wacek, — jego charakterystyka i jego stosunek do nauki szkolnej. Można było wypełnić ten szkielec żywym mięsem, mogła wyjść z tego zgrabna nowelka z prawdziwymi rumieńcami i szczerym uczuciem, ale nie miałyby ona nic wspólnego z „osądzanym” utworem.

Opis Wacka, pominąwszy „wdzięk i niewinną żywość”, ma styl komunikatu policyjnego o zaginionym chłopcu: „Ma on lat trzynastę, zamieszkuje przy ulicy Wapiennej, jest ubrany w niebieski spodnie, w czarną bluzkę i skórzaną czapkę z zakreconym daszkiem”. Znak szczególny? Proszę bardzo: „Czupryna nigdy niezaczesa, zwisająca na czole”, a równocześnie „wychodząca poza czapkę” (fizyczna niemożliwość).

Charakter Wacka składa się z samych sprzeczności. Jest to „młodzieniec pełen niewinności życiowej”, oraz „chłop zacny (dla odmiany staropolszczyzna) i zwawy!”. Wzorem naszych pra-ojców „kocha bliźniego jak siebie samego”, a cztery linijki niżej „zawsze się sprzecza, czasem się tak gniewa...”. „Jest mało mówny... jego słowa są ważne, jak szklane kryształki”, a równocześnie „zawsze się sprzecza... i wciąż mówi swoje”. Ponadto ten interesujący młodzian „ma bardzo dobre serce, wszystkim pomaga, nawet gdy go nie proszą” (co za bezinteresowność!).

Z całego utworu wyziera „kwiatuśki stylistyczne”, a nawet wspaniałe „kwiaty”, jak „upaly dnia”, „tłumy ludów” (np. Rzymian, Germanów, Gailów, Scytów...) wypływające z domów”, „książka o bohaterach w średniowieczu” inne już wymienione. Na zakończenie mamy krótki dialog, a raczej pytanie Wacka i odpowiedź na nie autora. Autor „trochę pomysł”, a potem odpowiedział w formie definicji:

— Nauka jest to rodzaj przyjemności umysłowej.

Co do mnie, gdyby mnie zapytano o definicję „osądzanego” utworu, nie namyślałbym się wcale i odpowiedziałbym od razu:

— Jest to rodzaj galimatiasu umysłowego, obrażającego logikę, ortografię, interpunkcję i dobre imię poezii...

II
Te trzy długie zdania z rozgałęzieniami zdań pobocznych, przypominają łacinę. Niestety, nie mają łacińskiej przejrzystości i ładny i nie mają, niekoniecznie już łacińskiego — zdrowego rozsądku. Z pierwszego zdania dowiadujemy się, że „bywa u ludzi, że... pewien przypadek... zadczyduje o przyszłych losach człowieka”, drugie mówi, że „przez własne przekonanie, czy przez obcy wpływ człowiek staje się... odmiennym niż dotychczas”. A więc co decyduje? Przypadek czy obcy wpływ?

O „obcym wpływie” mówi autor dwukrotnie, w dwóch za-

sadniczych członach drugiego zdania, które, nie wiem dlaczego, zaczyna od „aczkolwiek” i „jednakże”. Jak wynika z powszechnego (i racjonalnego) zastosowania tych dwóch wyrazów, druga część zdania, zaczynająca się od „jednakże” powinna przeciwstawiać się części pierwszej, zaczynającej się od „aczkolwiek”, tymczasem druga część zdania nie tylko się nie przeciwstawia, ale nawet wyraża tę samą myśl co część pierwsza, tylko, że w innej formie. Mamy bowiem: „aczkolwiek wiemy, że otoczenie wpływa na charakter człowieka...”, a po tym „jednakże, czy to przez własne przekonanie, czy przez obcy wpływ człowiek staje się... odmiennym niż dotychczas”, czyli wyraźniej mówiąc: „aczkolwiek otoczenie wpływa na człowieka, jednakże obcy wpływ zmienia go”. Jest to taki sam absurd, jakbyśmy powiedzieli: „aczkolwiek jest teraz dzień, jednakże nie ma nocy”. Trudno go w pierwszej chwili zauważyć dokładnie z powodu licznych zdań pobocznych, niepotrzeb-

Kubel zimnej wody

Niegdyś (piszę niegdyś, bo w owym czasie byłem nędznym pierwszoklasistą) wylano kubel zimnej wody na Aneri. Minęło kilka lat, odeszli starsi, przyszli nowi (między innymi Ty) i oto skonstatowałem, że taki kubel przydałby się także i Tobie.

Nie przeczę, że masz talent pisarski i zaprzeczyć nie mogę. Twoje powieści podobały mi się bardzo i boleję nad kłeską „Stachowej studni”. Ale czyż nawet najwięksi pisarze nie podlegają krytyce? A cóż dopiero Ty, zwłaszcza, że według mnie na tę krytykę zasłużyłeś.

Na dyskusję mnie nie wyzwalaś, ale poczuwam się do obowiązku podjęcia przez nikogo nie rzuconej rękawicy i wypowiedzenia tego, co leży mi na sercu. Właściwie nie potrzebowałbym się rozpisywać, wystar-

nych zgoła i zaciemniających sens.

W trzecim zdaniu trzeci nonsens... „młodzieniec przenosi się na inny tor i tamże odzyskuje nowe poglądy na życie”. Nowych poglądów odzyskać nie można, odzyskuje się to tylko, co się straciło, co się już kiedyś miało.

Tyle co do formy. Z treścią nie lepiej. Autor ciał nam opowiedzieć koniecznie o tym momencie życiowym „gdy człowiek przez własne przekonanie, czy też przez wpływ obcy staje się... innym niż dotychczas”.

Chciał nam opowiedzieć, o czym napisał się już w wielu książkach, czym zajęła się od dawna nauka, o czym wreszcie wie każdy na przykładzie siebie samego.

Zeby chociaż jakieś oryginalne, naukowo-popularne, lekkie, sztabackie, czy też może poważne, refleksyjne podejście... Podejścia żadnego nie było. Były tylko trzy długie, okresowe, „łacińskie” zdania, była gęstwina pojęć i zwrotów i kilka głaskanych frazesów.

Jak na druk, to bardzo mało, do kosza — wystarczy.

Henryk Dajczer.

dla Dyci z Zamościa

czyłoby przypomnieć Ci o pysznym się krzaku, pragnącym córki cedru libańskiego za żonę, ale zanim zdołał osiągnąć cel swych marzeń, zdeptała go marna sarenka. Nie chcę jednak stać się plagiatorem względem rabi Akiwy. A więc tak sprawa stoi:

Jak już zaznaczyłem, masz niewątpliwie talent pisarski. To jednak jeszcze bardziej pogarsza sprawę. Mając bowiem takie jak Ty zdolności, nie pisze się artykułu w rodzaju Twego dzieła p.t. „Moi bohaterowie”. Redakcja nie przyznała Ci pierwszej nagrody, wprawdzie pocieszyła Cię, że to jedynie dlatego że jesteś jej stałą współpracowniczką. Ale ja (i myślę, że każdy obiektywnie myślący czytelnik przyzna mi rację) jestem zdania, że praca konkur-

sowa Wata jest o wiele lepsza, chociażby dlatego, że redakcja nie jest w tym temacie zainteresowana.

Sądzę, że zagalopowujesz się na złą drogę. Przyznaję Ci rację, że Janusz Korczak jest człowiekiem genialnym, zresztą nie mogę Ci narzucać bohatera. Ale Twoje własne poczucie powinno przestrzec Cię, że to dość nieładnie posyłać do gazety pracę konkursową z pochwałą człowie-

O gawędach, naiwnych krytykach i szukaniu dziur w całym

(ODPOWIEDZ AUTORA „GAWĘD O CUDACH TECHNIKI” PAWŁOWI LAPIDUSOWI)

Działo się to m. 4 a 5-tą pp. w gabinecie przyjęć redaktora Małego Przeglądu.

Siedziałem spokojnie na krześle, a nade mną stał redaktor, nie spuszczać ze mnie oka. Zrozumiałem, że zaraz coś ważnego nastąpi. I rzeczywiście... Redaktor błysnął mnie swoimi szkłami, zmienił miejsce w fotelu od którego momentalnie zdołowałem i przez zęby wycedził: „napisz, odpowiedz, broń się, bo leżysz na obu łopatkach”.

Muszę się przyznać, że w pierwszej chwili przestraszyłem się nie na żarty. Kiedy jednak przeczytałem „gawędy o gawędach”, uspokoiłem się równie szybko i to całkowicie. Nie taki diabeł straszny.

Zarzut, drogi Kolego, nie są zarzutami, a krytyka — więcej niż naiwna. Pominąłbym nawet tę sprawę milczeniem (a niech sobie redaktor sam pisze odpowiedzi), gdyby nie moje przyzwyczajenie do pisania. Po prostu weszło mi w krew i muszę wykorzystać sytuację.

Ale do rzeczy. Zarzuca mi się, t. zn. autorowi „gawęd o cudach techniki”, że artykuły moje zdradzają niezwykle podobieństwo w książkę Fourniera. Delikatnie mówiąc, ściągam na całego.

Odpowiadam mojemu krytykowi: mam wrażenie, że Sz. Kolega nie przeczytał z tej dziedziny więcej książek, aniżeli Fourniera, bo w przeciwnym razie zna-

ka, który był założycielem i redaktorem tej gazety. Nie chodzi tu w tej chwili o redakcję, ale jak Ty wygiądasz w oczach czytelników?

Nie chcę winić Cię, ani wytykać niewątpliwie winy. Wzywam tylko Twe własne sumienie do wypowiedzenia się w tej sprawie. Czekam na jego odpowiedź.

Zygmunt Bauman (Poznań).

lażby podobieństwo i z wielu innymi dziedzinami. Te same np. szczegóły o elektryczności i magnetyzmie znalazłby i w „E-pokowych wynalazkach” W. Kaeppferta, w „Fizyce w życiu codziennym” prof. Zahorskiego, w „Dziejach elektryczności” Jewolda, w fizyce prof. Chwolsona, w „Cudach techniki” i „Wielkich twórcach nauki” Porębskiego, w „Opowiadaniach o elektryczności” Muro'a i wielu, wielu innych utworach.

A teraz stajemy przed bardzo trudnym zagadnieniem: albo wszyscy wymienieni pisarze ściągali od Fourniera, albo — o zgrozo! — sam Fournier odważył od nich?! Zaiste, zagadnienie trudne do rozwiązania. Może nam to Sz. Kolega wyjaśni?

Przy sposobności chciałbym kilka słów powiedzieć w ogóle o zadaniach popularyzatora techniki.

Piszący artykuł tego rodzaju nie jest odkrywca ani wynalazca. Jego zadaniem jest podać ogółowi „do wiadomości” rzeczy mało znane, a pozatym wyjaśnić — i to jaknajprzystępniej — zagadnienia trudne i skomplikowane. Proszę więc Sz. Kolegę zapamiętać sobie, że popularyzator nie odkrywa ani nie wynajduje nowych rzeczy.

Drugi zarzut był dla mnie rewelacją. Stracił mnie z wysokiego piedestału w najciemniejszą otchłań.

Spotyka mnie ni mniej ni więcej zarzut, że „niektóre uwagi (moje) wykazują niedostateczną znajomość fizyki i małe zrozumienie opisywanych zjawisk”. Biada mi, biada. Więc po to tyle lat uczyłem się fizyki i innych tam nauk z dziedziny techniki, żeby w końcu nie rozumieć tego, co sam piszę?

Nie, Kolego, jesteście w wielkim błędzie. Pewnie nieważnie czytujecie moje gawędy.

Gotów jestem dać każdemu, kto znajdzie choć jedną rzecz, niezgodną z ogólnymi zasadami fizyki, albo niejasności w opisywaniu zjawisk, bezpłatny bilet do cyrku lub całą nienapoczętą wiązkę fig (wybaczy mi p. redaktor za plagiat). A więc do roboty, młodzi przyjaciele!

A co do legendy o żelaznej trumnie Mahometa: to jest zupełnie bezsensowny zarzut. Od kiedyż to szuka się prawdy w legendach i bajkach? Czy może zechce Kolega uzasadnić i uzgodnić z prawdą wszystkie bajki o Babie Jadze, albo też miły greckie?

Gawędziło się o magnesach — wspominałem więc o legendzie muzułmańskiej.

Na przyszłość proszę być bardziej ostrożnym w wydawaniu sądów, a najważniejsze — nie szukać dziur w całym!

J. Gold.

Zapomniana książka

Popularne są ostatnio rozmowy o najbardziej lubianych książkach. I mnie często stawiano takie pytania, na które nie mogłem szczerze odpowiedzieć. Być może nie mam takiego zasobu odwagi cywilnej, aby po prostu wyznać: „nie wiem”. I teraz, gdy chcę opisać wrażenia, jakie jedną z przeczytanych rzeczy wywarła na mnie, nie mówię, że jest ona najciekawsza lub najładniejsza, lecz ciekawa i ładna.

Mówię o części „Trylogii” Żuławskiego. Nie wszędzie można ją znaleźć, nawet w największych bibliotekach. Nie wiedziałem nawet o jej istnieniu. Znalazłem ją przypadkowo w mieszkaniu kolegi, gdzie czekałem na jego powrót.

Znudziwszy się już myślami o szkole, nauce, kolegach i rodzinie, zacząłem przyglądać się temu, co mnie otaczało. Obok mnie na stole leżała niepozorna książeczka z wytrzeźoną oprawą. Spojrzałem na tytuł. Tu i owdzie zamazane atramentem litery głosiły, że jest to „Na srebrnym globie”, a w górze, ponieważ przeczytałem tylko „aw-ski”. Wzruszyłem ramionami i zacząłem czytać.

Początek był nudny, lecz w miarę czytania zainteresowanie stopniowo wzrastało. Cała rzecz była napisana w formie pamiętnika jednego z Indzi, którzy wyruszyli na księżyc. Widać w nim było początkowo tylko przygody, później przeżycia duchowe. W końcu pamiętnik był już tylko sejsmografem myśli piszącego.

Ogromne wrażenie wywarł no mnie jeden fakt. Oto, gdy uczestnicy wyprawy wędrują wśród bezpowietrznej pustyni na drugą stronę księżyca, gdzie mają jakoby znaleźć odpowiednie do życia warunki, okazało się, że nie starczy dla wszystkich powietrza, które mieli w balonach — starczy najwyższe dla dwu osób. I gdy miano dokonać wyboru, kto zginie natychmiast, a kto będzie żył, ówro autora odzwierciadla duszę ludzką zupełnie bez przesłonek. Przyjaciele gotowi są skoczyć sobie do gardła, aby tylko zdobyć nieco tlenu.

Później, po dotarciu do ziemi, gdzie można było żyć, zaczyna się z nich wytwarzać mały, maleńki ludek. Jest między nimi jedna kobieta, która w chwili stworzenia wśród nich. Z czasem wymierają oni wszyscy

i pozostaje sam autor pamiętników i pokolenie, które nie zna już ziemi.

Mijają lata. Jedyny żywy jeszcze uczestnik wyprawy, nazywany przez ludek księżycowy Starym Człowiekiem, żyje jedną tylko myślą o Ziemi, która coraz bardziej zaciera mu się w pamięci. Notatki stają się urywane, przepelnione tęsknotą, straszna nostalgia, która nie daje mu ani żyć ani umierać.

W końcu wyrusza on do miejsc, gdzie niegdyś wylądowali i gdzie zostawiono armatę, w kuli w której miały być posłane wiadomości na ziemię. Kończy pamiętnik słowami: „O ziemi, ziemi ułochana” i wypuszcza go, aby doszedł tam, gdzie on znajduje się myślą.

Całość wywiera wstrząsające wrażenie. Po przeczytaniu tej książki długo spacerowałem, z przyjemnością wdychając do płuc duszne, przepalone sadzami powietrze. Zamiast stojącego w wielkiej donicy drzewka, ustawionego przed werandą jakiejś kawiarni, widziałem śliczny, pachnący żywicą i świeżością las. Kochałem w tym momencie wszystko, co mnie otacza-

(Dokończenie na str. następnej)

Zapomniana książka

(DOKONCZENIE)

czalo, bo widziałem przed krótkim czasem z niesłychaną wprost wyrazistością odmalowany przez autora obraz człowieka, który tego wszystkiego nie miał. I chciało mi się wtedy żyć, żyć i jeszcze raz żyć.

W krótkim czasie, ale po długich rozmyślaniach, zacząłem z wolna poznawać dusze ludzi, które opisał Żuławski. Bo pozostawał on we wszystkim coś nieuchwytnego, czego należało się domyślić. To powodowało naturalnie wielki efekt, bo każdy widział wszystko tak, jak chciał to widzieć. Dlatego bardzo często rozmawiam o tej książce, a czasem aż otwieram oczy ze zdumienia, widząc, jak zupełnie inaczej rozumie i ocenia te same rzeczy ktoś inny. Na tym w dużym stopniu polega artyzm autora.

Ale nie tylko na tym. Wprowadza on czytelnika w sferę myśli bohatera książki tak, iż zdaje mu się przez cały czas, że on jest tym, którego myśli i uczucia przelewa na papier

geniusz piszącego. Mówię „geniusz“, bo za takiego właśnie uważam twórcę książki, którą w myślach nazywam arcydziełem. Nie wiem, czy należy ono do tych, które kształtują duszę człowieka. Możliwe, że nie. Poznaje się jednak po przeczytaniu jej wiele rzeczy we właściwym świetle, podczas gdy uprzednio nie widziało się ich wcale, bo tak bardzo zdążyły już one spowszednieć.

Ogólnie rzecz biorąc, książka ta zainteresuje w dużym stopniu każdego. A mimo to zupełnie nie jest popularna. Czy stała się wypożyczalnią o drugą część „Trylogii“ („Na srebrnym globie“ jest pierwszą) nikt nie wiedział, co to jest i nie mógł się tego doszukać. A gdy ktoś poprosił o jakąś „Zieloną dłoń“ lub „Chiński styl“?, natychmiast mógł go dostać. To mnie tak zdenerwowało, że wzięłem pierwszą lepszą detektywistyczną historię i wyszedłem.

JERZYK R. z Łodzi.

Wielki turniej o małą nagrodę

Gdybym dostał figę...

Co za naiwne pytanie! Gdybym dostał figę, zjadłbym ją oczywiście (trzeba wam wiedzieć, że uwielbiam figi i dobrze wiem, jak smakują).

Otóż gdybym dostał figę i zjadł ją, położyłbym się na kanapie i pomyślałbym, że jedna figa — to jednak mało. Później przewróciłbym się na drugi bok, a wzięwszy do rąk Mały Przegląd, zacząłbym przeglądać duże artykuły. Ponieważ bardzo lubię krytykować, więc od razu rozpocząłbym monolog z panem redaktorem:

— Ależ z Ciebie frajer, mój chłopcze. Przecież w tej swojej gazetce umieszczasz najmniejszą listy, a świetne, napisane z prawdziwym talentem prace idą do kosza lub pod kuchnię — zależnie od Twojego uznania. Tak, tak, nie tłumacz się. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Nie pamiętasz? Ale ja mam dobrą pamięć i wiem, że pokazałeś mi wtedy figę, której niestety nie dojrzałem z powodu zbytnej odległości, dzielącej Lublin od Warszawy.

No, ale przestańmy już mówić o tej niedojrzałej, (przepraszam, „nie dojrzałej“) figie. Spójrzmy na tę litosci godną gazetkę.

Miejmy nadzieję (żywi, nie traćcie nadziei), że jej redaktor stoi na równym poziomie ze swoim naiwnym dziełem. Po co zamieścić „Rękopisy jak upiory“? Co za upiorny geniusz podpowiedział mu, że kolega N. D. piszący stylem książek o bohaterach w średniowieczu, mający przyjaciela, który „wyryzując z ust słowa ważne, jak szklane kryształki“, że ten kolego winien odpowiadać przed Sądem Czytelnika?

Więc widzisz, redaktorze: te dwa artykuły wydrwiłeś publicznie, ale inne dają świadectwo Twojej naiwności.

Naprzykład w „Przeglądzie młodej prasy“ wyraźnie widać, że kolega Borensztein boi się, aby go młodzi autorzy nie wyprasowali za ostrzejszą krytykę. Pocóż drukujesz taki nieszczerzy przegląd? Albo czemuż nie wytłumaczysz „Jureczkowi z Komitetowej“, że gdyby nawet nie miał talentu, to jego pro-

fesor i tak mówiliby o jego wybitnych zdolnościach.

A teraz weźmy Mały Przegląd z poprzedniego tygodnia. Jeden z niezmiernie ciekawych artykułów (bez drwiny!) opowiada o tym, jak pewien młody reporter odwiedził równie młodą, a może jeszcze młodszą poetkę i jak dzięki próbie ataku gazowego zmuszony był pozostać dłużej u pisarki. Wyobraźmy go sobie piszącego sprawozdanie z reportażu. Czy widzisz jego chytrą minę, gdy pisze on słowa, wyrażające rozpacz z powodu niemożności wydobycia się z wizyty? Pisząc „a tom wpadł“, z pewnością myśli sobie: „A to mi się udało! Tam były takie świetne ciastka i... figi“. A Ty, redaktorze, nie mogłeś tego odgadnąć!

Na tym skończyłbym rozmowę z Tobą, gdyby nie smutna konieczność uzasadnienia tytułu.

Kiedy przybędzie do Ciebie ten rękopis, z pewnością powiesz do swoich kolegów:

— Po co ten dureń to pisał? Przecież tu niema niczego o figach. Czy on myśli, że to jest francuska klasówka, że do tytułu dodaje się treść ściągaczki, którą pisze zdolniejszy przyjaciel?

Nie bój się, redaktorze, z zasady niczego nie wędę. A co do artykułu, to też wiele razy pytałem się, po co ja to piszę, ale... „trochę pomyślałem, a potem odpowiedziałem“:

— Niech Redaktor wie, że i ja umiem bujać!

A figi? — Ośle, że figi, takie czy inne.

ARIA (Lublin).



CZY TO ZIMA?

Siedzę w oknie i patrzę na jasne niebo, usiane drobnymi gwiazdami. Co to jest? Często i w lecie niebo nie jest tak piękne, jak teraz, a to przecież styczeń, zima. Mimo to many prawie wiosnę, szczególnie wtedy, gdy słońce świeci.

Tej pory naprawdę nie można nazwać zimą, a ja tak pragnę prawdziwej zimy.

Gdy kładę się do łóżka, zasypiam z nadzieją, że nazajutrz zobaczę na ulicach warstwę śniegu, a bezrobotni będą łopatami układali go w wysokie pagórki. Ale rano znowu budzę się rozczarowana.

Naprawdę trudno uwierzyć, że mamy teraz zimę.

Bronia z Nowolipiek.

JESTEM CHORA.

Od piątku leżę chora na grype. Mamusia powiedziała, że grypa jest bardzo zaraźliwa, więc nikt z moich koleżanek nie może mnie odwiedzać.

Leżę sama i jest mi bardzo smutno, a w dodatku okropnie się nudzę.

Nagle przychodzi mi myśl, że by napisać do Małego Przeglądu i stać się jego stałą korespondentką. I tak też robię.

Rena z Katowic.

SZUKAM KOLEGI.

Chodzę do nowej szkoły. Mam dziewięć lat i jestem w trzecim oddziale.

Mam niedobrych kolegów, bo uczą się niechętnie i bardzo dokuczają.

Chciałbym się z kimś zaprzyjaźnić. Bardzo Cię proszę, Mały Przeglądzie, podaj mi kilka nazwisk dobrych chłopców, albo jednego porządnego miłego chłopca, żebym się mógł z nim zaprzyjaźnić.

Ja myślę, że każdy chłopiec powinien mieć swojego przyjaciela, z którym odrabiałby lekcje, chodził na spacer i razem się bawił. A ja nie mam nikogo i dlatego jestem bardzo samotny.

Gutek z Pawiej.

NASZA GIMNASTYKA.

— Czy będzie gimnastyka, proszę pani?

— Będzie, będzie, przebierajcie się szybko — mówi pani.

— Ruta, zamknij drzwi, ja się wstydzę, bo Olek podgląda — woła Fela.

Jestem pierwsza gotowa. Za mną wybiegają dziewczynki. Rozlega się drugi dzwonek i zapala się „czerwona lampka“.

— Do szeregu! — wołam (jestem porządkową). — Olek, nie biegaj po sali, powiem pani, zobaczysz!

Wchodzi pani. Mówi:

— Czołem!

— Czołem! — odpowiadamy.

— Do pierwszej zwrot, na przód marsz! Raz, dwa, trzy, cztery, lewa, prawa, lewa, prawa, Ruta uspokój się, Olek także, Tusia, zmień nogę, raz, dwa, trzy, cztery. Parami, środkiem uliczki zrób, raz, dwa. Do mnie zwrot! Trzy podskoki w górę, na cztery skok do przysiadu pod partego. Ćwicz! Raz, dwa, trzy, cztery. Dość. Do okna.

Skaczemy z radości. „Do okna“ znaczy, że rozpoczniemy zaraz jakąś grę.

— Edzia myśliwy, reszta zajączki — mówi pani.

W czasie gry dużo jest piszków i okrzyków zadowolenia. Aż pani woła:

— Dość! Teraz Sarenka i Tuśia przyniosą ławkę, tak proszę ją odwrócić. Pierwsza przechodzi, druga, następna, następna. Przechodzimy ostrożnie, chwytając się zlekkka. Ale jakoś idzie. Po tym ćwiczeniu znowu zabawa.

— Do „piłki więziennej“. Lilka i Ruta dwie partie.

Długo wybieramy. Pani pyta:

— Numery rozdane? Pierwszy numer rzuca.

— Fela i Fania do więzienia! Gramy długo. Nasza partia wygrywa.

— Zbiórka — woła pani. Czołem.

— Czołem!
Idziemy do szatni przebrać się.

Sulamita R.

ZNIEWAŻENIE KRÓLA.

Niespodziewanie wybuchła wojna pomiędzy Olkiem i Artkiem, a Jurkiem i Leszkiem. Ja, nie namyślając się długo, przyłączyłem się do obozu Artka i stałem się ich doradcą.

Po dłuższej wojnie Artek i Olek zwyciężyli Jurka i Leszka. Ale to nie była prawdziwa wojna, bo zaraz Jurek wszystkich do siebie zaprosił na herbatę, szachy i domino.

Powędrowaliśmy do domu Jurka, gdzie bawiliśmy się koło trzeciej godziny. Zaraz na początku obrano mnie królem zjednoczonego królestwa.

Bawiliśmy się tak dobrze, iż nie zauważyłem, że robi się ciemno. Nagle przyszła moja mamusia i nie licząc się z tym, że nie jestem teraz zwyczajnym chłopcem, a królem, wytargowała mnie za uszy, czym mnie znieważała. Ponieważ mamusia nigdy mnie nie bije, byłem po prostu przerażony.

W domu usłyszałem kilka słów, które także nie przypadły mi do gustu. Za karę, że bez pozwolenia siedziałem tak długo u kolegi, przez trzy dni nie dostanę kostki czekoladowej.

Maurycy z Długiej.

W PROWINCJONALNYM MIASTECZKU.

Pierwszy raz pojechałam z mamusią do Wielunia, aby odwiedzić babcię. Naturalnie bliższa i dalsza rodzina przysłała na dworzec i tak się z nami żegnała, jakbyśmy jechały do Ameryki.

W pociągu myślałam wciąż o tym Wieluniu. Wyobrażałam sobie, że Wieluń, to miejscowość górzysta i malownicza.

Po kilku godzinach byliśmy w Sieradzu. Na przystanku czekał na nas samochód, który jechał prosto do Wielunia.

Kiedy przyjechałam do Wielunia, bardzo się rozczarowałam: zamiast gór i pięknych widoków, ujrzałam zwykłe miasteczko prowincjonalne. Na miejsce spotkania przysłała po nas babcia.

Czas w Wieluniu minął dosyć wesoło. Największą moją przyjemnością były spacery na folwark oddalony o 2 km. od Wielunia. Folwark tej jest własność



WYNIKI XIII-go TURNIEJU ROZRYWKOWEGO „Małego Przeglądu“.

Jak zwykle, wszyscy uczestnicy Turnieju zostali podzieleni na 2 grupy: 1) do lat 10-u włącznie i 2) od lat 11-u do 13-u włącznie.

W grupie I-iej (do lat 10-u) największą kolejno ilość punktów zdobyli:

- 1) Josef Goldfarb, 1. 9 Nalewki 27/38—43 p.
- 2) Adelfia Lichtensztein, 1. 9 Franciszkańska 6A/25—34 p.
- 3) Musio Zinger, 1. 8, Solna 9/24—33 p.

W grupie II-iej (od 1. 11-u do 13-u) największą kolejno ilość punktów otrzymali:

- 1) Olek Oltuski, 1. 12, Niska 37/4—52 p.
- 2) Genia Rasskin, 1. 13, Dzielna 31/50—52 p.
- 3) Paweł Lapidus, 1. 12 Nowolipki 6/13—49 p.

Najmłodszym uczestnikiem Turnieju był pięcioletni Kuba z Siennej.

Od Red. „Rozr. Umysł.“:

W numerze „Małego Przeglądu“ z dn. 13-go b. m. zaszyły w dziale „Rozrywki Umysłowych“ aż dwie omyłki: 1) W zad. turn. Nr. 23 opuszczono tekst, tak, że rozwiązanie tego zadania stało się zupełnie niemożliwością, 2) w zadaniu zaś Nr. 24, zatytuł. „Każda litera na swoje miejsce“ nie podano ilości punktów, przysługujących za jego rozwiązanie. Komunikujemy zatem czytelnikom, że zadanie Nr. 23 zostaje unieważnione, za rozwiązanie zaś zadania turn. Nr. 224 wyznaczone są 4 punkty.



ŻARTY

SUMIENNY PACJENT.

— Czy pił pan lekarstwo tak, jak panu kazałem, to jest godzinę przed jedzeniem? — pyta lekarz pacjenta.

— Nie, panie doktorze!

— Dlaczego?

— Nie mogłem pić dłużej, niż 5 minut. I tak ledwo nie pęknem!

KOLEJKA PODMIEJSKA.

— Panie konduktorze, czemu ta kolejka tak dzisiaj podskakuje. Zepsuło się coś?

— Nie, tylko widzi pan, maszynista ma czkawkę...

FILANTROPIA.

Do przechodnia podchodzi pani z listą składkową na dobroczynny cel.

— Może ofiaruje pan jakiś datek na rzecz niewidomych?

Przechodzień potrząsa głową.

— Dałbym nawet — odpowiada — ale boję się, że niewidomi nic z tego nie zobaczą.

cią znajomych mamusi. Na podwórzu folwarcznym znajduje się szopa a w niej dużo drewnianych klatek. W klatkach tych mieszczą się przepiękne białe króliki. Oprócz królików jest dużo drobiu.

Chociaż Wieluń jest tylko małym, prowincjonalnym miasteczkiem, to jednak spędziłam tam bardzo przyjemnie czas.

Halina z Nowolipia.